Prezydentura bezprawia

Inwazja Stanów Zjednoczonych na Wenezuelę i porwanie Nicolása Maduro, krajowo uznawanego prezydenta Wenezueli, naruszyły Konstytucję USA oraz prawo międzynarodowe.

Konstytucja wyraźnie stanowi, że tylko Kongres może autoryzować inwazję na obce państwo. W okresie przed II wojną światową Kongres wypowiadał wojnę krajom, które zaatakowały USA lub były sprzymierzone z tymi, które to uczyniły, a te deklaracje wygasały po kapitulacji legalnych władz w atakowanych krajach.

W erze po 11 września Kongres wybrał autoryzowanie użycia siły militarnej, nie przewidując mechanizmu, który zakończyłby tę autoryzację. Istotnie, zaledwie w zeszłym miesiącu Kongres unieważnił autoryzacje militarne z czasów George'a W. Busha, które były wykorzystywane przez prezydentów Baracka Obamę i Donalda Trumpa do atakowania grup, które nawet nie istniały w momencie wydania autoryzacji.

Jednak, tak jak były one moralnie wadliwe, to przynajmniej były zgodne z konstytucją, będąc wynikiem prezydenckich próśb oraz obrad i autoryzacji Kongresu. Wiemy teraz, że co najmniej dwie z nich były oszukańcze – administracja okłamała Kongres i Organizację Narodów Zjednoczonych. Ale, ponownie, przynajmniej wywołało to debatę i uznano obowiązki wynikające z Konstytucji i Karty Narodów Zjednoczonych, by uzyskać zgodę przed inwazją na obcy kraj.

Karta jest traktatem, opracowanym przez amerykańskich

urzędników po II wojnie światowej i ratyfikowanym przez Senat. Zgodnie z Konstytucją, traktaty są, podobnie jak sama Konstytucja, najwyższym prawem kraju.

Prezydent Donald Trump złamał swoją zaprzysiężoną i nadrzędną powinność zachowania, ochrony i obrony Konstytucji, gdy nakazał inwazję na Wenezuelę bez autoryzacji Kongresu oraz gdy zaatakował państwo członkowskie ONZ bez autoryzacji ONZ.

Sam James Madison argumentował podczas Konwencji Konstytucyjnej, że gdyby prezydent mógł zarówno wypowiadać wojnę, jak i ją prowadzić, byłby księciem; niepodobnym do brytyjskiego monarchy, od którego władzy 13 kolonii właśnie się odłączyło. A amerykańscy twórcy Karty NZ, a właściwie amerykańscy senatorowie, którzy głosowali za jej ratyfikacją, rozumieli, że jej samym celem było zapobieganie bezprawnym i moralnie nieuzasadnionym atakom jednego państwa członkowskiego na drugie.

Kiedy zapytano sekretarza stanu Marco Rubio po tym, jak wojska pojmały prezydenta Maduro, dlaczego administracja nie zastosowała się do Konstytucji i nie wystąpiła o zgodę Kongresu na inwazję, dał on żałosne odpowiedzi. Najpierw powiedział, że „ekstrakcja" Maduro nie była inwazją. OK, więc armada okrętów, śmigłowce szturmowe, setki żołnierzy, 80 ofiar śmiertelnych i dwa porwania na obcym terytorium to nie inwazja, ale sprzedaż kokainy chętnym amerykańskim nabywcom już tak?

Następnie stwierdził, że Kongresowi nie można ufać. Kongres jest równorzędną gałęzią rządu federalnego – zgodnie z Konstytucją, pierwszym wśród równych.

Potem powiedział, że administracja Trumpa stanęła w obliczu sytuacji nadzwyczajnej. Prawo federalne definiuje stan nadzwyczajny jako nagłe i nieoczekiwane zdarzenie, które prawdopodobnie będzie miało szkodliwy wpływ na bezpieczeństwo narodowe lub dobrobyt gospodarczy. W zeszły weekend nie było

żadnego stanu nadzwyczajnego.

Dlaczego naruszenie Konstytucji przez prezydenta jest złe?

Po pierwsze, złożył on przysięgę zachowania, ochrony i obrony jej. Jest ona źródłem jego władzy rządowej. Sąd Najwyższy orzekł, że cała władza federalna pochodzi z Konstytucji i z niczego innego. Znajduje to odzwierciedlenie w 10. poprawce, która stanowi, że uprawnienia rządowe nieprzekazane w Konstytucji rządowi federalnemu nie pozostają uśpione, czekając na przejęcie przez władzę federalną, lecz pozostają w rękach ludu lub stanów. Jest to przynajmniej madisoniańskie spojrzenie na rządy konstytucyjne.

Jego przeciwieństwem jest spojrzenie wilsonowskie – od tego pseudo-konstytucyjnego profesora prawa w Białym Domu, Woodrowa Wilsona – które głosi, że rząd federalny może zajmować się każdym problemem narodowym, zagranicznym lub krajowym, dla którego ma wystarczające poparcie polityczne, z wyjątkiem wyraźnych zakazów nałożonych na niego w Konstytucji. Niestety, każdy prezydent po Wilsonie był wilsonistą.

Trump przyznał, że wydarzenia z zeszłego weekendu stanowiły amerykański „atak na suwerenność”. Jest to oczywiście sprzeczne ze stanowiskiem prokuratora generalnego Trumpa, który wydał swoim prokuratorom instrukcje, by twierdzili, że było to zwykłe aresztowanie zbiegłego przed wymiarem sprawiedliwości.

Musi mieć on wypaczony pogląd na sprawiedliwość, której istotą jest uczciwość. Czy to uczciwe, gdy CIA angażuje się w handel narkotykami, a następnie pomaga ścigać przywódców państw, w których ten handel ma miejsce, gdy ci patrzą w inną stronę? Czy to uczciwe, gdy prezydent z poważną, lecz zmęczoną twarzą twierdzi, że USA „posiada” ropę w ziemi pod Wenezuelą? Czy to uczciwe, gdy rząd federalny, który nie jest w stanie

dostarczyć poczty, ma „rządzić Wenezuelą”, jak Trump kilkakrotnie twierdził w zeszłym tygodniu?

Pytania te są sformułowane jako dociekania moralne, ale wszystkie wracają do Konstytucji. W latach po 11 września władza prezydencka rozrosła się, a władza Kongresu skurczyła. Nie osiągnięto tego poprzez poprawkę do Konstytucji, lecz przez to, że Kongres patrzył w inną stronę, gdy prezydenci zabijali, a Kongres miał nadzieję na powszechnie aprobowane rezultaty.

Rezultatem była katastrofa, której wszyscy byliśmy świadkami w Caracas. Osiemdziesiąt osób zostało zamordowanych przez wojska amerykańskie, aby pojmać kozłów ofiarnych za handel narkotykami CIA i zaspokoić amerykańską żądzę cudzej ropy.

Po prostu nie ma na to obrony prawnej. Własny dyrektor wywiadu narodowego Trumpa – niewątpliwie pierwszy świadek obrony na procesie Maduro – stwierdził w marcu zeszłego roku, że Wenezuela nie jest dostawcą fentanylu ani kokainy do Stanów Zjednoczonych; oraz że USA wycofały się z działalności związanej ze zmianą reżimów. A własna Administracja ds. Zwalczania Narkotyków Trumpa, której agenci towarzyszyli amerykańskim wojskom w inwazji, mówiła to samo o Wenezueli.

Amerykańska inwazja na Wenezuelę jest ciosem w Konstytucję. Ujawnia to, czego wielu z nas obawiało się – prezydenturę opartą na zasadzie „siła tworzy prawo”, bezprawną, impulsywną machinę autorytarną, która nie uznaje żadnych prawnych czy moralnych ograniczeń swoich władz – za granicą czy w kraju.